

## Jan Maciejewski: Czerwiec. Przesilenie

Jeżeli maj byłby muzyką Mozarta, to czerwiec – Debussy’ego. To już nie jest radość wybuchającej wiosny, beztroska początku, ekstaza utrzymywana w korbach klasycyzmu. Ten miesiąc to późny romantyzm, przecucie końca. Harmonie chwieją się na nogach z upału, szukają wytchnienia w pogłosach. Kontury rozmazują się od unoszącego się znad ziemi żaru – pisze Jan Maciejewski.

Uczta, która zapomniała się skończyć. Jeden wielki przesyty. Za dużo światła, dni kończą się zbyt późno, zaczynają za wcześnie. Człowiek nie jest w stanie wytrzymać tyle blasku bez mrużenia oczu. Jeżeli maj byłby muzyką Mozarta, to czerwiec – Debussy’ego. To już nie jest radość wybuchającej wiosny, beztroska początku, ekstaza utrzymywana w korbach klasycyzmu. Ten miesiąc to późny romantyzm, przecucie końca. Harmonie chwieją się na nogach z upału, szukają wytchnienia w pogłosach. Kontury rozmazują się od unoszącego się znad ziemi żaru. Dur czy moll, potknięcie, czy świadome nagięcie reguł? Co tu jest w ogóle grane?

To już nie niewinny flirt, ale ponura, pierwotna namiętność. Czerwcowe noce nie są jak przystanie ani nawet hotele, tylko pokoje na godziny. I jeszcze ten zapach. Opary kwitnącej akacji wyręczają wszystkie Diory i Chanelle. Maj zaciągał się sobą głęboko i spokojnie. Czerwiec dyszy jak człowiek udręczony od nadmiaru rozkoszy.

Przejrzał go też Tom Hodgkinson, który w swoim praktycznym poradniku gospodarzenia, „Starym wspaniałym świecie”, radzi nam w tym miesiącu skupić się na doglądaniu pszczół. Otóż to: słodycz wyposażona w setki żądeł. Do czerwca jak do ula, najlepiej zbliżyć się wyłącznie w ochronnym kombinezonie. A spróbuj tylko zanurzyć choć jeden nagi palec w jego ciekłej rozkoszy, zaraz będziesz uciekał z wrzaskiem przed wściekłym rojem. Tylko, że wyjść z tego miesiąca cało, oznacza dokładnie tyle samo, co zmarnować te trzydzieści długich dni i krótkich nocy. Czerwiec jest właśnie po to, żeby nas uwieść i pokiereszować. Trzeba mu się oddawać bez ograniczeń i bez pamięci. Do końca.

Kościół, stając do licytacji z naturą właśnie w czerwcu (najczęściej) umieścił uroczystości Najświętszego Ciała i Krwi Chrystusa i (zawsze) Najświętszego Serca Jezusa. Przechwytuje, podczepia się pod atmosferę i temperaturę tych dni. „Wiem, że i tak nie możecie przestać myśleć o ciele, wasze serca wpadają w arytmie od nadmiaru uczuć, chodzą wam po głowie same niebezpieczne myśli. Dobrze więc, zbliżcie się. Oto jestem”.

Jest tylko jeden, prawdziwie czerwcowy poeta. Jan od Krzyża.

O słodkie żaru upalenie  
O rano pełna uczucia błogiego  
O rękę miłą, o czułe dotknięcie  
Co dajesz przedsmak życie wieczystego  
I spłacasz hojnie wszystkie zaległości  
Przez śmierć wprowadzasz do życia pełności

Przesilenie jest przeciwieństwem rezygnacji, opamiętania; posunięciem się o jedną noc ciemną za daleko. Staje się ciałem, a konkretnie kwiatem, właśnie w czerwcu. I tylko w nocy. Dlatego tak łatwo je przegapić.

\*\*\*

Nerwowo zerknął na zegarek. Kwadrans po siódmej. Będzie pierwszy, stanie odwrócony twarzą do rzeki a plecami do schodów. W ten sposób zazwyczaj łatwiej było wytrzymać niepewność. Za pierwszym razem, kiedy jeszcze nie ustaliło się między nimi, że właśnie tu będzie stałe i jedyne miejsce spotkań, kiedy był to tylko fragment codziennie pokonywanej przez nią drogi, mrużył oczy i wpatrywał się w każdą z nadchodzących z daleka sylwetek. Potem był już mądrzejszy. Czekał aż rytm kroków za jego plecami ucichnie na chwilę, po której zbliży się, stanie na palcach, zasłoni twarzą rzekę, pochyli głowę i podsunie mu swoje włosy do pocałowania. Drżąc z porannego chłodu i niepewności przypominał sobie każdy z tych razy, tak bardzo do siebie podobnych, że wszystkie one zlewały się w jeden moment. Teraz.

Nie mógł wiedzieć, czy kartka trafiła do jej rąk, czy mieszka jeszcze pod swoim starym adresem. A jeśli nawet tak, to czy posłucha wyrażonego wyłącznie w dacie, godzinie i widniejących pod nimi inicjałach wezwania.

Minęło osiem lat, odkąd był tu ostatni raz. Prawie dziesięć od ich ostatniego spotkania. Odwrócił głowę, żeby spojrzeć na ławkę stojącą pod uginającymi się od ciężkich liści i przekwitłych kwiatów, gałęziami kasztanowca. Uśmiechnął się na wspomnienie kolejnego z ich rytuałów, wciskanie pomiędzy deski a ich metalową podstawę dopalonego do połowy papierosa. W ten melodramatyczny sposób, dawali sobie jeszcze przez wiele miesięcy po ostatnim spotkaniu znać, że pamiętają. I właśnie w tym momencie, ciszej niż kiedykolwiek wcześniej, inaczej niż za każdym z poprzednich razów, zjawiała się. Jakby tędy po prostu przechodziła i postanowiła akurat odpocząć, usiadła na ławce. Położyła obok siebie torebkę, wyjęła z niej paczkę papierosów.

Odwrócił z powrotem twarz do rzeki. Kątem oka zobaczył, że – jak zawsze podczas palenia – przypomina dziecko wydmuchujące bańki mydlane. Kiedyś, wiele lat temu, powiedział jej o tym skojarzeniu, bardzo jej się wtedy spodobało. Nie odważył się tego powtórzyć.

Mówił nie patrząc w jej stronę, z rękami założonymi za plecy. Nie przemyślał wcześniej tego, co chce powiedzieć, liczył na wzruszenie, a może jeszcze na to, że ona przemówi pierwsza i jakoś pójdzie dalej. Jak zawsze, kiedy się denerwował jego głos przyspieszał i stawał się piskliwy. W końcu przerwał. Nie reagowała. Dwoje obcych ludzi. Wreszcie schylił głowę i powiedział to jedno, jedyne zdanie, które mogło coś zmienić. Wszystko, co w zasadzie zamierzał powiedzieć.

- Chcę wrócić.

Papierosa dopaliła dobrych kilka minut temu. Wpatrywała się w niewidzialne, kreślone na ziemi czubkiem buta kształty. Spojrzał w jej stronę, ale ona najwyraźniej nie miała ochoty na niego patrzeć.

Dawno już zdała sobie sprawę, że miłość na całe życie jest czymś zupełnie innym od tego, o czym marzą dorastające dziewczynki. W rzeczywistości przypomina bliznę; krótki, intensywny ból, a po nim noszony aż do śmierci, a nawet po niej, aż skóra z resztą ciała nie zgnije w ziemi, ślad. Była więc teraz, w najbardziej kobiecym i potocznym sensie tego słowa, urażona. Kilka dni temu, po wielu latach przerwy, wytknięto jej istnienie biegnącej przez środek twarzy blizny. I teraz siedzi tu, nawet obojętną obecnością wystawia ją na światło dzienne. Nie spojrzy w jego stronę, nawet przez moment. Zamiast tego opowie mu poprzednie dziesięć lat swojego życia. Ułoży jedna po drugiej i przesunie przed jego oczami każdą z chwil, w których była szczęśliwa; wszystkie twarze, w które, w przeciwieństwie do jego, patrzyła z uśmiechem i oddaniem. Powinien być przecież na bieżąco, skoro od jutra mają żyć razem.

Mówiła o tych wszystkich, z którymi tu przychodziła. O zdziwieniu każdego z nich, że na miejsce spotkań wybrała takie pospolite i brzydkie miejsce. I też o tym, że gdyby chociaż jeden zachwycił się nim jak należy, nawet trochę udając, pozwoliłaby mu zająć jego miejsce. O tym, że pod adresem na jaki wysłał kartkę mieszka teraz jej przyjaciółka. Opowiedziała jej o dziwnej przesyłce przypadkiem, bo akurat tego dnia spotykały się w jakimś szerszym gronie. Sama mieszka teraz pod miastem, dwa lata temu kupiła sobie dom. Naprawdę dobrze jej się powodzi. Nie będzie musiał zarabiać, w pierwszych miesiącach odpocznie, potem sam zdecyduje co chce robić.

Przedstawiła plan działania. Ustaliła, gdzie się spotkają, opowiedziała mu o swoich przyzwyczajeniach, sposobie w jaki nauczyła się żyć, wszystkim, do czego będzie musiał się dostosować. Wyłożyła przed nim całą regułę jej życia, którego od jutra stanie się częścią.

- Ile czasu potrzebujesz, żeby pozłatwić swoje sprawy?

- Już to zrobiłem. Jutro chciałbym się tylko pożegnać.

Pokiwała głową. Aż do teraz to on wykonywał - słuchając jej przepełnionego dumą i wyrzutem głosu - ten gest, prawie niezauważalnie i rytmicznie, ze zrozumieniem i cierpliwością, która rozsierdzała ją i kazała mówić dalej i z jeszcze większą pewnością siebie.

Wstała i podeszła do niego. Zasłoniła twarzą rękę, pochyliła głowę. Od pierwszej chwili wiedziała, że w ten sposób zakończy to spotkanie. To miała być kpina, która okazała się uległością wobec jakiejś tajemniczej formy.

- Pobłogosław mnie.

Zaskoczenie zmroziło go tylko na moment. Wykonał nad jej pochyloną głowę znak krzyża szepcząc do niej, do siebie i jeszcze chyba do tej stojącej obok ławki: in nomine Patris, et Filii, et Spiritus Sancti.

- Amen – odpowiedziała.

\*\*\*

Obudził się chwilę przed siódmą. Wskoczył z łóżka i zaczął zgarniać rozrzucone wokół rzeczy do leżącej na środku pokoju torby. Okłamał ją mówiąc wczoraj, że już wszystko pozałatwiał. Nawet nie był spakowany. Głowa pękała, w ustach mdliła go pozostałość po zatruciu nikotynowym, którego nabawił się wypalając w nocy pół paczki papierosów. Teraz już był pewien, że rzucenie tego nałogu było właściwą decyzją.

Drogę, która normalnie zajmuje kwadrans pokona biegiem, powinien zdążyć. Był na siebie tak wściekły, że nawet nie potrafił o tym myśleć. Nie tak miał wyglądać ostatni dzień. Pożegnanie powinno się odbyć z godnością. A tego zawsze najbardziej mu brakowało. Od kiedy pamiętał chętnie poddawał się upokorzeniu; było w nim upajające napięcie, ten moment między rozgryzieniem owocu a wylaniem się podrażniającego kubki smakowe soku, wykonaniem poniżającego gestu, wydaniem się na pastwę czyjejś łaski i cierpliwym oczekiwaniem na wyrok, który nie mógł być sprawiedliwy. W jego twarzy był jakiś fałsz. Zaproszenie do gry, którą czuł się w obowiązku przegrać.

Ona jedna dała się pokonać, to dlatego musiał wrócić. Próbował tyle razy, codziennie schylał głowę i zamykał oczy, ale nikt nie przychodził.

Ubierał się w pośpiechu, zapinając co drugi guzik. Zbiegając po schodach potknął się, przewrócił i rozbił łuk brwiowy. Biegł przyciskając go chusteczka higieniczną i klnąc pod nosem na każdego z przyglądających mu się ze zdziwieniem przechodniów. Zanim dotarł na miejsce krew przestała się łąć, ale i tak czoło było nią pomazane, a spływający pot piekł ranę. Wszystko było nie tak jak trzeba, ale zdążył. Zostało jeszcze pięć minut.

Akurat tyle ile potrzebował, żeby się przebrać, opłukać twarz wodą i wyrównać rytm oddechu. Nie będą słyszeli jak połyka słowa, myli się ze zmęczenia, twarz zobaczą tylko przez kilka chwil. Poza tym, to i tak ostatni raz. Choć nikt z nich jeszcze o tym chyba nie wie. Ale to dobrze, ta świadomość dawała mu przewagę. Po raz pierwszy poczuł ją nad nimi i to go pokrzepiło.

Iudica me, Deus...

Wymierz mi, Boże, sprawiedliwość i broń sprawy mojej przeciw ludowi niezbożnemu, wybaw mnie od człowieka podstępnego i niegodziwego. Ty bowiem, Boże, jesteś mocą moją, czemu mię odrzuciłeś? Czemu chodzę smutny, nękanym przez wroga?

Wymawiane codzienne, od tylu lat, słowa modlitwy u stopni ołtarza, przygotowanie do właściwej mszy, dopiero dzisiaj, może dlatego, że po raz ostatni, nabrały w jego ustach słodkiego smaku. Tak, że wydostając się na zewnątrz zabrzmiały z mocą. Te pięcioro, stojących za jego plecami osób, musiało się zdziwić, słysząc zmianę w tonie jego głosu.

Zazwyczaj prawie szeptał, teraz wystukiwał je na posadzce pierwszego stopnia ołtarza, w którą wbił szeroko otwarte oczy. Confitebor tibi in cithara...

I będę Cię chwalił na cytrze, Boże, Boże mój. Duszo ma, czemuś zgnębiona i czemu miotasz się we mnie.

Odpowiadał mu tylko słaby, niewprawiony w łacinie, niepewny wypowiedzianych słów, anonimowy głos: Spera in Deo...

Ufaj Bogu, bo jeszcze wysławiać go będę, zbawienie mego oblicza i Boga mojego.

Wspomnienie jej wyłaniającej się zza pleców, przesłaniającej krajobraz z rzeką w tle twarzy dodawało mu odwagi. Spowiadając się Bogu wszechmogącemu, Najświętszej Maryi Zawsze Dziewicy, świętemu Michałowi Archaniołowi i wszystkim świętym widział wyraźnie grzech, którego dopuścił się myślą, mową i uczynkiem. Mea culpa, mea culpa...

Uderzył pięścią w piersi z impetem, klęczący obok ministrant spojrzął na niego zdziwiony. Twarz tego aż do przesady stonowanego, reagującego rozdrażnieniem na każdy przesadnie dewocyjny czy emocjonalny gest kapłana była wykrzywiona w grymasie wściekłości. Ideo precor beatam Mariam semper Virginem, beatum Michaelem Archangelum... Przeto błagał Najświętszą Maryję Zawsze Dziewicę, świętego Michała Archanioła, świętego Jana Chrzciciela i wszystkich pozostałych. Naprawdę błagał, chociaż nie wiedział do końca o co. Płonął jakimś dziwnym, nigdy wcześniej u niego niespotykanym,

świętym płomieniem. - Dominus Vobiscum... Pan z Wami. – I z duchem twoim – odpowiedziały już dużo pewniej, pokrzepione jego zapachem, zwiedzione nim głosy. Po raz pierwszy poczuł ich oddech na swoich plecach. Szli za nim. Akurat teraz, kiedy skręcał w boczną ścieżkę.

Nie odwrócił się w ich stronę podczas lekcji ani fragmentu Ewangelii. Bał się, że oderwie wzrok od tekstu, spojrzy w ich twarze i czar pryśnie. Dopóki patrzył przed siebie, widział rzekę i zaraz pod nią schyloną, gotową do złożenia na niej pocałunku głowę, miękkie ciepło jej włosów. Czuł rozrzewnienie i narastającą w nim wściekłość, które wreszcie stanowiły właściwą melodię dla wymawianych codziennie, monotownie i sucho słów.

Martwy język ożył. Odzyskał swoje ciało i swoją krew.

Hostię złamał pewnym gestem. Na pół, a potem jeszcze raz, na ćwiartki. Wsadził ją do ust łapczywie. Miażdżył zębami ze schyloną głową i zamkniętymi oczami. Z wyrazem twarzy dziecka wyjadającego schowaną przed nim przez rodziców czekoladę. Dopuszczając się przestępstwa nie z łakomstwa, ale chęci zemsty. Wyrównania istniejących tylko w jego głowie rachunków. Resztki hostii znikają w przełyku, razem z osadem wyszeptanych przed chwilą słów: ... spraw także, bym zawsze lgnął do przykazań Twoich i nie dozwól mi nigdy odłączyć się od ciebie.

Zaczynał dogasać. Schylił jeszcze raz głowę, próbował ją zobaczyć, upewnić się ostatni raz, że włosy pachną wciąż, mimo upływu lat, tym samym zapachem. Pochylał się coraz niżej, ale nie napotykał oporu.

Słyszał tylko szum rzeki.

Byle się nie odwrócić. Nie pokazać im twarzy. Zobaczyliby ją ostatni raz, zapamiętali właśnie taką, złamaną i niepewną. Słabym głosem, patrząc przed siebie i nie widząc już ani jej, ani rzeki w tle. Stał tam tylko czarny, wysoki, metalowy krzyż.

Ite. Missa est. Idźcie już sobie. Ofiara spełniona.

Nie odwracaj się.

Bogu niech będą dzięki – odpowiedziało mu kilka głosów. Wydało mu się, że ze współczuciem.

\*\*\*

Pociąg odjeżdżał za godzinę. Miała czekać na stacji, to ostatnia rzecz, którą wczoraj ustalili. Z książek zabrał tylko kilka. Nie zamierzał ich już nigdy czytać. Postawi je na półce, żeby nie zapomnieć kim kiedyś był. To miało być jak przełożenie obrączki przez wdowca na lewą dłoń.

Czego zabrakło? Patrząc ostatni raz na pokój, którego światła i zapachu nienawidził szczerze i gorąco, myślał o tym, że w każdej z jego porażek powtarzał się wspólny motyw. Pauza następowała zawsze w tym samym momencie; rytm urywał się, muzyka cichła, chociaż wydawało się, że teraz, właśnie w tej chwili wreszcie dokona się wielkie

przełamanie. Jego modlitwy zostaną wysłuchane. „Uderz w kamień, a wypłynie mądrość”. On prosił przecież tylko o ulgę. Zdążył się wyrzec każdej nadziei i ambicji. Chciał tylko, żeby na niekończącej się pustynia gestów i słów, trafiła się chociaż jedna oaza.

Musiał iść przed siebie. Od momentu, w którym zrozumiał, że ulga nie nadejdzie, przynajmniej nie w tym, ani żadnym podobnym mu pokoju, jego los był zdecydowany. Trzeba było znaleźć nowy dom. Tylko ona, jedyne z jego zwycięstw, mogła się nim stać.

Był już w przedpokoju, prawie naciskał klamkę od drzwi wyjściowych, gdy usłyszał kroki. Nie odwracaj się. Wszystko zostało już powiedziane, ta sama prośba została odmieniona przez wszystkie możliwe argumenty. Zatrzymał się z ręką na klamce. Dla jego proboszcza ten dzień był innego rodzaju porażką.

- Życzę ci...

Zawiesił głos. Szukał słowa, które go nie urazi ani nie przyniesie złudnej ulgi. Takiego, które zostanie z nim; jak wyrzut sumienia i błogosławieństwo jednocześnie. Milczeli długo. W takich chwilach obiektywne miary czasu nie przekazują żadnej informacji. Puścił klamkę, odwrócił się. Zobaczył starego, pokonanego księdza, a w tle jego opuszczany na zawsze pokój, pustynię bez kresu. Tamten patrzył w ziemię. W końcu wydusił z siebie słowa, z rezygnacją. Tonem, który przepraszał, że nie był w stanie wymyślić nic lepszego.

- Życzę ci miłości.

\*\*\*

Żółto-czerwone, pastelowe pasy pokrywały niebo, kiedy pociąg wjeżdżał na stację. Siedział przy oknie i starał się ją wypatrzeć. Wiedział, że przyjdzie. Są takie decyzje i zdarzenia, co do których nasza wola i duma ma bardzo niewiele do powiedzenia. Jeżeli wczoraj przyznała się do istnienia blizny, odsłoniła ją przed nim, to dzisiaj musiała tu być.

Dostrzegł ją z daleka. Na stacjach podobnych do tej, nigdy nie ma specjalnych tłumów. Zwłaszcza wieczorami, w środku tygodnia. Poza nią, było tam tylko młode małżeństwo i zgarbiony żebrak. Cała trójka wyglądała na takich, którzy raczej rozpoczynają swoją podróż niż oczekują na kogoś, kto właśnie ją kończy. Pociąg stanął, ale on się nie ruszył. Wpatrywał się w jej, przerażoną i niepewną twarz. Co chwilę odwracała się raz w jedną, raz w drugą stronę. Zagryzła wargi i ruszyła wzdłuż składu pociągu.

Była zachwycająco niepewna siebie, zupełnie inaczej niż wczoraj. Westchnął, wstał i bez specjalnego pośpiechu ściągnął walizkę i wysiadł z pustego wagonu. Kiedy tylko go zobaczyła, próbowała nadać swojej twarzy wyraz surowej obojętności. Ale ślad lęku sprzed chwili był wciąż zbyt wyraźny. Przywitali się bez słowa. Schyliła głowę, on złożył swój pocałunek. Dotknęła delikatnie blizny nad jego okiem, pozostałości po porannym pośpiechu.

Od tej pory kobieta wzięła go do siebie.

*Jan Maciejewski*